



Z głębokim żalem i smutkiem zawiadamiamy, że w tym roku odeszli od nas:

**Józef Longinowicz**  
**Gen Disobey**  
**Dominique Radetzky**  
**San Precario**  
**Bruthus Perun**

*Uroczystości odczytania tekstów zmarłych autorów zostały sprywatyzowane i odbywają się na wyłącznie odpowiedzialność czytających.*

Pograżona w gniewie redakcja reVolty

# !reVOLT

**numer 0 (2)/ 2008**

**cena:** 20 zł (wsprzyj nimi dowolnie wybraną organizację lewacką) lub "skopiuj i podaj reVOLTę dalej" dwóm kolejnym osobom.

**redakcja:**

Piotr Kowzan  
Grzegorz D. Stunża

**współpraca:**

Jah- [www.perturbacje.blogspot.com](http://www.perturbacje.blogspot.com)

Propozycje tekstów można nadsyłać na adresy:

[pedgds@univ.gda.pl](mailto:pedgds@univ.gda.pl)  
[satkow@gmail.com](mailto:satkow@gmail.com)

Nie przewidujemy wynagrodzenia za nadesłane teksty, nie zwracamy niezamawianych tekstów.

**wydawca:**

wirtualny kolektyw „Krytyczne Oko” [www.krytyczneoko.blogspot.com](http://www.krytyczneoko.blogspot.com)

**wykręcanie numeru****Posthistoria, postpolityka... post mortem** [Piotr Kowzan, Grzegorz D. Stunża].....4**rozmowa kontrolowana****Rewolucja ante portas? Czyli o rewolucji (nie)możliwej** [Gen Disobey, Dominique Radetzky].....6**teksty pośmiertne****Genetyka w służbie bogatych** [San Precario].....10**Viva Brasil! O kraju ten... nie ucz grać w piłkę, bo górnicy oddadzą order** [Józef Longinowicz].....11**Pedagogika a terror** [Gen Disobey].....13**Własność intelektualna a upadek liberalnego kapitalizmu** [Dominique Radetzky].....14**Przyszłość pracy: elastycznie, dorywczo i nomadycznie** [Gen Disobey].....15**Ideowa mizéria, panowanie PR** [San Precario].....16**Kapitalizm was wyzwoli** [Gen Disobey].....17**walka klas****Walka klas cz. 3** [Gen Disobey].....19**Walka klas cz. 6** [Gen Disobey].....20**paraportaż****Auto(?)pedagogika. Garaż jako centrum kultury** [Dominique Radetzky].....22**graff(oman)iti****Po drugiej stronie muru, część II** [Bruthus Perun].....24

wiersze Papu Paszy [Papu Pasza]

**Strajk myśli**.....27**Samoregulacja**.....28**Błąd w sztuce**.....29

Obrazki

**Segregacja** [Eric C].....5**Remember** [Eric C].....12

# Posthistoria, postpolityka... post mortem

*czyli wykręcanie numeru*

Rewolta roku 68 i polityczne zmiany jakie przyniosła możliwa była dzięki dobrobytowi. Gdy podstawowe potrzeby bezpieczeństwa socjalnego zostały na tzw. Zachodzie zabezpieczone, ludzie mieli czas i środki na to, by zacząć myśleć i rozmawiać o kształcie przyszłości. Dzisiaj, 40 lat później, nie da się rewolty po prostu powtórzyć. Bo czy można walczyć z wrogiem, który materializuje się m.in. w postaci eleganckiego kucharza, zachęcającego ze szklanego ekranu do wykorzystania kolejnego "pomysłu na obiad"? Co zamiast strajku proponują dzisiaj studenci w mieście, w którym rodziła się "Solidarność"? Czy wspólnota to już tylko impreza w klubie, albo tłum, z którego trzeba się koniecznie wybić na wyższe piętro w biurowcu czy strzeżonym osiedlu? Wreszcie, czego możemy po sobie oczekiwać, gdy trzeba zarobić na nowe usługi mające zaspokajać podstawowe potrzeby?

Korporacje przystosowały się do systemów podatkowych i uciekają z zyskami. Państwa obciążone kosztami ich działalności nie chcą płacić okupu za spokój i wycofują się z edukacji, zabezpieczeń socjalnych oraz opieki zdrowotnej. Żyjemy w ciągłej niepewności o zatrudnienie, bez względu na wysokość aktualnych zarobków. Trudności w dostępie do leczenia, groźba utraty mieszkań, uzależnienie (już dwóch milionów Polaków) od kredytów i pańszczyzny odrabianej na rzecz banków (współczesne "przywiązanie do ziemi") działają na nas i jesteśmy pokornymi pracownikami. A kierat dnia codziennego powoduje, że jesteśmy już tylko w stanie podpisywać protesty, śłać maile sprzeciwu i czasem chodzić na demonstracje lub... oglądać w telewizji strajki związkowych weteranów. Tak, już tylko "stare" grupy: górnicy z kilofami i pielęgniarki odchodzące od łóżek mają pozostałości narzędzi zastraszania. Choć nie wiecie im się najgorzej, to przynajmniej widzimy, że w ogóle istnieją. Jeżeli przychodzi nam więc walczyć o cokolwiek, to samotnie i tylko w obronie tego co mamy. Nie stać nas dzisiaj na bycie realistami i żądanie niemożliwego. W intelektualnie spacyfikowanym kraju nie stać nas nawet na otwarcie oczu, skoro szeregowi pracownicy, sondażowi Polacy, wierzą, że zmiana podatku progresywnego na liniowy uratuje ich złotówki, dotychczas przepuszczane na "beznadziejną publiczną opiekę zdrowotną" i "dziurawe drogi".

Zerowym numerem reVOLTy retorycznie pytamy o "cywilizacyjny skok" jaki miał dokonywać się w Polsce po wstąpieniu do UE.

Jednym z podstawowych problemów na jaki trafiają współcześnie intelektualiści jest "słyszalność". W świecie, w którym można powiedzieć wszystko uwagę korporacyjnych mediów i reprezentujących lobbystów polityków przyciągają tylko głosy mówiące neoliberalnym językiem kosztów i bezpieczeństwa. Jednych to frustruje i milkną, inni w oparciu o nowe media budują alternatywne porządki. A my "nadużywamy" tego języka, żeby pobudzać rewolucyjną świadomość zarówno wykluczonych jak i tych "zbyt zajętych żeby zarabiać". Koszty to życie. Kreowanie zysków przy pomocy cięć kosztów zepchnęło zbyt wielu ludzi w nędzę. Wolelibyśmy tego nie mówić, ale nie mamy wyjścia: czas związać te cięcia z kwestiami bezpieczeństwa tych, którzy takie rozwiązania propagowali i po blisko 20 latach transformacji zżyli się z taką ideologią. Dlatego sięgamy po teksty autorów, którzy zginęli, zaginęli lub odeszli próbując opowiadać jak wygląda ten

coraz mniej kosztowny świat. Bo gdy nie boimy się już śmierci, to nie ma takich rzeczy, których nie moglibyśmy osiągnąć, jak podpowiada myśl Tao Ti Ching.

Zbiorową śmiercią autorów paradoksalnie przywracamy znaczenie temu, o czym przy pomocy Barthesa wielu pozwoliło sobie zapomnieć. Intencjonalność. Pora odebrać policyjnym psychologom monopol na przekłete pytanie "Co autor miał na myśli?" Jaki widziałabyś świat, gdyby teksty reVOLTy były twoimi słowami? Czy "oddany tekst" jest w stanie uwolnić czytelnika od czytania i zainteresować działaniem we wspólnym świecie?



*Ilustracja 1: Strefy, getta, zony, sektory, alarmy, strażnicy, mury, klasy, wykluczenia...*

## Rewolucja ante portas?

*Czyli o rewolucji (nie)możliwej*

**Dominique Radetzky:** Gen, rzadko mamy okazję porozmawiać, a wiesz, że lubię kontrowersje. Zatem: rewolucja- na cholerę nam rewolucja? Czy w dzisiejszym świecie można mówić o rewolucji? Czym miałyby być, czy jest w ogóle możliwa, czy potrzebuje awangardy, czy w dobie sieciokracji wystarczy oddolny ruch tłumów? Czy takie ruchy są możliwe w posttyotardowskim świecie małych narracji? A może w świecie sieci trzeba nam sieci różnorodnych oporów, mieszanki oporu z odporem, połączenia biernego oporu rodem z duńskich strajków przeciwko niemieckiemu okupantowi z odporem bojówek alterglobalistów w czarnych mundurach? A może zamiast palić komitety, powinniśmy tworzyć własne? Wydaje mi się, że rewolucja wymaga wroga, pałacu zimowego, na który można ruszyć, zatem, by była możliwa, trzeba zdefiniować ten pałac. A może się mylę? Czy w świecie sieciowego o(d)poru car nie będzie rozmyty i nie do końca możliwy do zidentyfikowania? Krótko mówiąc: czy przypadkiem nie powinniśmy mówić o rewolucjach, a te z kolei nie walczą przypadkiem z różnymi obliczami tego samego, wielogłowego potwora? Czy(m) jest ten potwór?

**Gen Disobey:** Dominique, ja nie miałbym nic przeciwko ewolucji, gdybym wiedział, że w przyszłości czeka mnie godna emerytura. I że dożyję tej starości w zdrowiu, bo objęty będę leczeniem i profilaktyką m.in. przeciwnowotworową. I w zasadzie mógłbym się nawet podporządkować i zacząć ciężiej pracować, żeby zarobić na ten przywilej długiego życia w zdrowiu. Obawiam się jednak, że cena przywileju życia będzie coraz wyższa. No, bo jeżeli są w Polsce ludzie, którzy w jeden miesiąc zarabiają więcej niż ty w rok, to na "wolnym rynku" usług gotowi będą płacić za ochronę zdrowia zdecydowanie więcej niż ty czy ja. A bardzo ograniczone zasoby, tj. szpitale, lekarze, zaczną specjalizować się w obsłudze bogatych i będzie to już medycyna przechodząca w kosmetykę. Podczas gdy my zaczniemy się piętrzyć w kolejkach po resztki tych zasobów. Taka perspektywa nastraja mnie rewolucyjnie, bo (a) bogaci stali się biologicznym zagrożeniem dla biednych i (b) walczysz o życie, które już straciłeś.

No i w tym kontekście przyglądam się dzisiaj ludziom, miejscom, sieciom, komitetom, klasom społecznym etc. Kto i gdzie rozpocznie rekrutację i pod jakim szyldem. Nie trzeba wielkiego potwora, szyld wystarczy. O filozofię niech się martwią ci, co mają coś do stracenia.

**Dominique Radetzky:** A gdzie w tej sytuacji jest państwo, które przynajmniej jakiś czas funkcjonowało jako instytucja sprawująca pieczę nad ludźmi, by się wzajemnie nie powyrzynali? Czy samo nie przyczynia się, zezwalając na radykalne nierówności, do tego, że wykluczeni z rosnącego dobrobytu będą coraz częściej zachowywać się tak, jakby państwa nie było? Mam wrażenie, choćby na podawanym przez Ciebie przykładzie rozwoju prywatnej medycyny i nierówności (czy z edukacją nie szykuje się podobnie?), jakie ten rozwój w dostępie do usług (usług? a może powinności?) medycznych wywołuje, że państwo, pozwalając na skrajne nierówności, samo buduje rzesze zbuntowanych przeciwko instytucjom, które mogłyby być gwarantem społecznego rozwoju. Potem tylko w ramach "ziobrownictwa" sprząta się ludzkie odpady, nie zważając na przyczyny upadku. W dodatku wmawia się nam, że jest to nasz jednostkowy problem. Obawiam się, by rewolucyjność nie była jednostkowa. Szyldy zbierające rewolucjonistów się pojawiają: vide "Krytyka Polityczna". Ale w związku z niejasnymi deklaracjami, czy będzie to w przyszłości partia, czy nie, nie wiadomo, czy środowisko budujące na

nowo lewicowy światopogląd nie wyda pewnego dnia swoim sympatykom legitymacji członkowskich, zmieniając w ten sposób bunt na garnitury Sierakowskiego... W końcu obecny premier też wojował- w Solidarności, palił marihuanę, nie lubił Kościoła...

**Gen Disobey:** No nie ma pomysłu na państwo dzisiaj. Rośnie znaczenie więzień, wojska i policji, a politycy nie myślą np. o reformie sposobów opodatkowywania korporacji. W końcu ich działalność nie ma wiele wspólnego z ubóstwianą przedsiębiorczością. W ogóle obchodzimy się w Polsce z kapitalizmem jak z jajkiem. Socjaldemokraci w ogóle nie wierzą, że ten system przewycięża wszelkie ograniczenia i przekuwa je w swoją siłę. Dlatego tak interesujący jest projekt Krytyki Politycznej, bo dzięki nim staje się publicznie jasne z jak potężnym mechanizmem (pedagogicznym) mamy do czynienia. Ale sama wiara w kapitalizm socjaldemokratom nie wystarczy. Żeby mogli ponownie odegrać swoją historyczną rolę ratując co się da z kapitalizmem, muszą poczuć strach, że im ten kapitalizm może zostać odebrany. Taki przynajmniej był początek modelu skandynawskiego - socjaldemokraci spiskujący z liberałami w celu wyeliminowania radykałów. Wydaje się, że i dzisiaj w Polsce ktoś musi się podjąć tej trudnej roli strasznych radykałów.

I tu powstaje klasyczne pytanie "kto?". Chciałoby się postawić jeszcze raz na klasę robotniczą. Podziały klasowe, owszem, stają się w Polsce coraz silniejsze. Tyle, że nie są dość silne ani trwałe, by niższe klasy wyprodukowały jakąś wspólną, właściwą sobie emancypacyjną praktykę czy ideologię. Mówiąc beczelnie, zbyt łatwo było dotąd pielęgniarkom i robotnikom posyłać dzieci na studia, żeby czuli potrzebę opisywania swojej pozycji społecznej jako potrzasku. To się zmienia, ale i tak na świadomość klasową pracują pokolenia. A my chcemy zawalczyć o nasze stracone życia, czyż nie? Dlatego dla potrzeb rewolucji czy choćby rewolty lepiej przyjrzeć się bakuninowskiej kategorii zdeklasowanych. Tak jak bogactwo i bieda, tak i deklaszacja jest względna. Wiąże się mocno z edukacją, o której wspominałeś, bo gdy zdobywanie tytułów i dyplomów okazuje się bezużyteczne ludzie czują, że coś stracili. Nie wiem czy zwróciłeś uwagę na wykształcenie terrorystów związanych z Al Kaidą. Lekarze, inżynierowie... Jeden z badaczy biednego Południa, Jeremy Seabrook, twierdzi nawet, że fundamentalistyczne ruchy zasilane są przez... ekonomistów! Eh, ci wszyscy chłopcy z kwalifikacjami na ulicach Jakarty i Karachi. Licencjat z zarządzania, a utrzymanie z korepetycji to mocne przeżycie dla tych, którym wbudowano poczucie jednostkowej odpowiedzialności za własny los. U nas jak dotąd emigracja i obietnica Nowego Świata w Internecie rozrzedzały wystarczająco frustracje zdeklasowanych. Ale ty Dominique chyba właśnie stamtąd wypatrujesz jakiegoś zrywu, co?

**Dominique Radetzky:** Chciałbym jeszcze na moment wrócić do przywołanego przez Ciebie Seabrooka- to co pisze, jest rzeczywiście przerażające. Biznes omamił młodych ludzi obietnicą sukcesu i zachęcił ich do studiowania "przyszłościowych" kierunków. Skłonił do ryzyka, a rodziny do inwestycji i niejednokrotnie zadłużenia, by dziecko mogło studiować np. zarządzanie. A przecież na pewno istniały inne możliwości, dające pewny fach w rękę. I zapewne im większe rozczarowanie obietnicą biznesową, tym większa skłonność do radykalnego wyrażenia sprzeciwu. Czytałem kiedyś o Irakijczyku- zagorzałym fanie Bon Jovi, który w domu słuchał zachodnich płyt i wieszał na ścianach plakaty zespołu, a poza domem strzelał z moździerza do Amerykanów i organizował na nich zasadzki. Przyglądam się młodym pracownikom nauki, zwłaszcza asystentom, ale również nauczycielom stażystom i kontraktowym, którzy za niewiele ponad tysiąc złotych muszą pogodzić marzenie o naukowej czy nauczycielskiej karierze ze smutną rzeczywistością- za te pieniądze nie da się kupić najnowszych książek i jednocześnie dobrze zjeść, nie wspominając o nowych ubraniach i zakupie mieszkania, nawet na kredyt i odnoszę wrażenie, że są w podobnej sytuacji rozczarowania. Albo zaczną bawić się w tzw. chałtury, albo będzie z nimi krucho i kto wie, może niebawem znowu usłyszymy o bojówkach na wzór Rote Armee Fraktion. A dla banków są

nikami, bo zatrudniani są na kilkuletnie umowy. Takie mamy myślenie o przyszłości polskiej edukacji.

Wracając jednak do internetu, uważam, że zryw dawno miał miejsce. Nie jest to jednak jednoznaczna ideologicznie akcja. Raczej polifoniczna krytyka systemu współczesnego kapitalizmu, opartego obecnie w dużej mierze na tzw. własności intelektualnej. Bunt jest ogromnie zróżnicowany. Paradoksalnie, wojownicy o wolną kulturę i wolny przepływ informacji po części twierdzą, że w momencie udostępniania informacji całej ludzkości budują prawdziwie konkurencyjny kapitalizm. Bo tylko dając wszystkim równe szanse można oczekiwać prawdziwie konkurencyjnej twórczości. A właściwie konkurencyjnej wyłącznie na ograniczonym poziomie: vide licencje GNU GPL i GNU FDL i pewne odmiany licencji Creative Commons, nakazujące dzielić się owocami swojej pracy, jeśli jest ona tylko oparta na wspólnej wiedzy (przykład GNU Linuksa i Wikipedii). Najzabawniejsze jest to, że informacyjni wolnościowcy, pomimo uczestnictwa w wolnym rynku i zgody na komercyjną aktywność opartą na wspólnej wiedzy (w pewnych warunkach), przez starych kapitalistycznych monopolistów nastawionych na hierarchiczną, katedralną produkcję i duże zyski przy małych nakładach (patrz: Microsoft) są określanii mianem komunistów. Nie chcę się tu rozwodzić, bo temat skomplikowany. Na pewno mamy do czynienia z kolejną falą grodzenia, tym razem ogradzania pól wiedzy i komercjalizacji wiedzy. Prawo autorskie, które miało chronić twórców stało się jednym z większych opresorów. Bo może i chroni twórczych potentatów (którzy paradoksalnie wypłynęli i zbudowali fortuny, bo mogli w swoim czasie brać z kultury co chcieli za darmo- jak Disney), ale działa na szkodę rozwoju kultury i społeczeństwa. Na pewno popieram szwedzkich "piratów", kiedy mówią, że kopiowanie wbrew prawu autorskiemu to cyfrowe nieposłuszeństwo obywatelskie. Zatem w pewnym obszarze to jest radykalizm, o który się dopominasz i który może doprowadzić do wymuszenia kompromisu i promowania takich wartości jak współpraca, dając odpór obłąkającym społeczeństwo.

Ale odejźmy od mojego hakerskiego skrzywienia i terroryzmu informacyjnego. Czy widzisz możliwość, żeby zdeklasowani nie rozpiechli się po różnorodnych destrukcyjnych ruchach albo nie zasiedli przed telewizorem przy konstruowanym dla nich spektaklu i skupili swoją energię na budowaniu na rzecz zmiany? Czy miecze wściekłości nastawione na zemstę można jeszcze przekuć na lemieszce?

**Gen Disobey:** Ale to właśnie te "różnorodne destrukcyjne ruchy" w naszych warunkach wydają mi się racjonalne ekonomicznie! Nie bójmy się tego języka - język wroga trzeba znać. Kiedy twierdzą, że reformy służby zdrowia wytworzyły warunki, w których bogaci stali się biologicznym zagrożeniem dla biednych, bo rynek dokona racjonalnej alokacji ograniczonych zasobów, to w zasadzie widać, że nie lemieszce mi w głowie. Nie chodzi jednak o to, żeby zabijać ludzi, którzy mają więcej. Lubimy ludzi. Problemem jest jednak ich szkodliwa siła nabywczą. Żeby utrudnić bogatym zagarnięcie zasobów na rynku życiodajnych usług, trzeba przysporzyć im kosztów. Skoro nie robi tego już państwo (podatki dla najbogatszych w PL nie sięgają nawet 50% ich przychodów!), przejeżdż kluczem po masce drogiego samochodu. Przekonywuj, że ich dzieci powinny być odprowadzane do szkół przez ochroniarzy; że strzeżone osiedla mają za niskie mury; że wieczorem to lepiej jednak zamówić coś do domu, niż pokazywać się na ulicach. Suma takich drobnych kosztów jest społeczną miarą bogactwa.

A konstruktywne ruchy, no cóż. Alterglobalistyczne protesty nie naruszyły kapitalizmu, a nawet nie powstrzymały wojny w Iraku. Internet, który zrewolucjonizował sposoby spędzania życia, ma cechy dawnego "Nowego Świata": przenieśli się tam i geniusze i "przestępcy". Walka z korporacjami toczy się bardziej o kształt samego Internetu, niż o jakość życia poza nim. Oczywiście trudno nie zauważyć rosnącej zależności "Starego Świata" od tego "Nowego". Awaria

komputerowych systemów obsługujących banki może mogłaby nawet sprowadzić nas na chwilę z powrotem do barteru, tj. wymiany towar za towar.

Obecna forma kapitalizmu jest jednak mocno związana z jakością demokracji jaką mamy. Obu przydałoby się głębokie odamerykanizowanie. Dlatego skoncentrowałbym siły raczej na "nieuchronnych możliwościach" jakie przyniosła ze sobą wojna w Iraku. Naszym ratunkiem okazać się może radykalny ruch antywojenny. Ta wojna trwa już tyle co Druga Wojna Światowa! Końca nie widać, a nasi "demokraci" pomogli to piekło rozpętać. I to tylko dla zysków, do czego się potem otwarcie na mównicy przyznawano. Na szczęście terroryści nie uwierzyli, że Polska jest demokratycznym krajem, w którym - jak to się przedstawia w propagandzie - wszyscy ludzie decydują o losie swojego kraju. Ale jakaś odpowiedzialność za wywoływanie wojen musi być. "Przepraszam, to się już więcej nie powtórzy", to za mało. Ale Dominique, wyobraź sobie wstrząs, gdyby Polska wystąpiła z inicjatywą udostępnienia Międzynarodowemu Trybunałowi Karnemu wszystkich posłów i prezydenta, którzy zadecydowali o wysłaniu naszych wojsk do Iraku. Jakie muszą być spełnione warunki, żeby taki gest był możliwy? Niestety ci politycy musieliby chyba wcześniej uwierzyć, że poddanie się wyrokowi międzynarodowej, ludzkiej sprawiedliwości będzie dla nich korzystniejsze niż konfrontacja z "boską sprawiedliwością" szaleńców czy radykałów w domu. To nawet niekoniecznie musiałyby się wiązać z natychmiastowym wycofaniem naszych wojsk. Pozwólmy socjaldemokratom nas zdradzić na chwilę. Dajmy im szansę sprzedać żołnierzy np. za ratyfikowanie protokołu z Kyoto przez USA.

**Dominique Radetzky:** Kiedy pytałem o miecze i lemieszce, nie miałem na myśli grzecznego przejścia do oddolnego budowania, pozbawionego świadomości stanu wojny. Raczej chciałem odciąć się od mieczy w rodzaju stosowanych przez partyzantów, terrorystów, bo nie wydaje mi się konieczne, przynajmniej w Europie, stosowanie przemocy fizycznej (cyfrowa wojna, to inna sprawa). Akurat historię zbrojnych ruchów wyzwoleniczych przerabialiśmy aż nadto dobrze. Zdaję sobie jednak sprawę, że mówię o konieczności odrzucenia przemocy ze swojego spokojnego akademickiego gabinetu i funkcjonuję w sytuacji schizofrenicznej: pomiędzy obietnicą lepszej przyszłości, którą przyjmuję emocjonalnie, a świadomością braku przyszłości, bo o stabilizacji moich dziadków mogę już tylko zapomnieć. Obawiam się jednak, by wojownicy demaskujący "Brand New World", nie wrócili za kilka lat do swoich domów, z hasłem "no future" na ustach. Niczym brytyjska młodzież z lat siedemdziesiątych. Chociaż, kto wie? No future w Anglii okazało się mieć przyszłość w PRLu, gdzie w hasłach braku perspektyw i szans socjalistycznie przykrajana młodzież odnalazła swoje jutro. Może siłą walki z dzisiejszymi opresjami o milionach twarzy jest ruch odporu będący mieszanką paradoksów i sprzeczności? Tak by na każde oblicze krzywdy przypadało odbicie nie mających już nic do stracenia zbuntowanych. Tysiące małych, pojawiających się z nienacka pożarów trudniej ugasić niż duże, zaplanowane podpalenie. Jak myślisz Gen- i tu przywołam Manguwujaya zacytowanego we wstępie "No logo" przez Naomi Klein- czy ogień, choć go jeszcze nie widać, już huczy pod powierzchnią?

**Gen Disobey:** Huczałby, gdybyśmy przestali zmuszać się do optymizmu porównaniami z mroczną przeszłością czy biedą w Afryce. W zasadzie, do zrewoltowania świadomości powinien wystarczyć jeden eksperyment myślowy: wyobraź sobie, że twoje tymczasowe zajęcie, miejsce, możliwości są czymś trwałym - są miejscem do życia, a nie tylko do przejścia. Jeżeli ten stan nie odpowiada ci, to nie jest to twój indywidualny problem. Nawet gdy uda ci się uciec, to miejsce to zajmie przecież ktoś inny. Długość nie jest najszcześniejszą miarą jakości życia niewolników. Dlatego warto powalczyć o zdeinstalowanie nie pierwszy już przecież raz zdemaskowanego systemu? Nigdy wcześniej ludzkość nie miała tak ogromnej wiedzy o testowanych alternatywach.

## Genetyka w służbie bogatych



Pieniądze szczęścia nie dają. Pieniądze dają zdrowie bogatym. Z każdym medycznym odkryciem, z każdym epokowym wynalazkiem, rośnie grono transhumanistów wierzących w demiurgiczną moc technologii wyrrywającej rodzaj ludzki z kleszczy biologicznej śmierci. Gros transhumanistów to naukowcy i milionerzy. Ów alians konsoliduje się w wielkich komercyjnych projektach z zakresu genomiki.

Milioner ze Szwajcarii, Dan Stoicescu, zlecił - jako jeden z nielicznych - prywatnej firmie Knome odczytanie pełnej sekwencji swojego DNA. Za 350 tysięcy dolarów naukowcy ofiarowując mu szansę poznania i uporania się w porę z czyhającymi nań genetycznie uwarunkowanymi chorobami.

Wadliwe geny są źródłem blisko 5000 chorób; 1/5 z nich już zdiagnozowano - tak utrzymują niektórzy naukowcy. Nic dziwnego, że terapia genowa uchodzi za medyczną wunderwaffe, która rozprawi się z doskwierającymi nam od zarania dziejów cielesnymi i duchowymi bolączkami.

Poruszając ów temat New York Times, akcentuje, iż genetyczne testy to rodzaj luksusowej usługi. Tym samym bardziej ewidentny staje się podział na kastę bogaczy mających dostęp do najnowocześniejszych medycznych nowinek i cała reszta, skazaną na publiczną, kulejącą służbę zdrowia.

Dynamiczny technologiczny postęp rodzi zatem nadzieję na cudowny eliksir, tyle że dla wybranych. To musi budzić rezerwę i niepokój. Daje im wyraz w swojej książce F. Fukuyama. Czytam o niej:

*„Major increases in human longevity could also be disruptive, he fears, because "life extension will wreak havoc with most existing age-graded hierarchies," postponing social change in countries with aging dictators and thwarting innovation in others.*

*But the most serious threat to the stability of human societies is genetic engineering that may alter, by design or inadvertence, the special balance of contrarities of human nature. Human nature, Dr. Fukuyama argues, "is fundamental to our notions of justice, morality and the good life."*

- to fragment artykułu A Dim View of "Posthuman Future" Nicholasa Wade'a w NYT.

Józef Longinowicz

## Viva Brasil!

*O kraju ten... nie ucz grać w piłkę, bo górnicy oddadzą ordery*



Mistrzostwa Europy w piłce nożnej nadchodzą nieubłaganie. Na szczęście jesteśmy jeszcze w 2008 roku, a nie cztery lata później, bo kiedy obserwuję tzw. "postępy" prac przygotowawczych, nie wróżę dobrze. Nie, nie organizatorom, ci pewnie mniej lub bardziej prowizorycznymi sposobami dopną swego. Obawiam się raczej o zdrowie psychiczne kibiców z zagranicy, którzy będą z lotniska, np. w Gdańsku, sunąć w korkach do hotelu. Ale nie o tym dzisiaj. Piłka nożna dostarcza wrażeń z dnia na dzień, niekoniecznie tych sportowych, o czym przekonam Was już za moment.

Zawsze się zastanawiałem, czemu o reprezentacjach piłkarskich mówi się, że są "narodowe". Kiedy patrzyłem na czarnoskórych Holendrów lub Francuzów, paradoksalnie, nie dziwiło mnie to aż tak mocno, jak czarnoskóry piłkarz w reprezentacji Polski. To chyba kwestia definicji- w wyzwolonej z internacjonalistycznego ucisku Europie Środkowo- Wschodniej, gdzie właściwie narzucano odgórnie wizję postnarodu radzieckiego, narodowe odrodzenie budzi się z większą ekspresją. To u nas odradzają się pomysły narodu genetycznego, chociaż dopiero po drugiej wojnie światowej nasze państwo zdominowała jedna (a przynajmniej tak nam się mówi, bo jeśli zapytacie Ślązaków i Kaszubów, to powiedzą Wam nieco inną prawdę) kultura, a Żydów (niejednokrotnie uważających się za Polaków) pozbyliśmy się w '68.

Czy warto mówić o narodach, albo przynajmniej o narodowych państwach? Nie lepiej rozmawiać o państwowych reprezentacjach? Bracia Kaczyńscy zapewne nie zgodziliby się z moim chaotycznym rozważaniem kwestii narodowej, bo promują polskość w bardzo wąskim rozumieniu, bliskim pomysłom rodu Giertychów. Ale, paradoksalnie, to jeden z braci Kaczyńskich podważył niedawno własną (a może jednak brata- kto zgadnie?) wizję narodowej państwowości. Znowu paradoksalnie- zrobił to zapewne z troski o tenże właśnie naród, przyjmując w poczet polskich braci i sióstr brazylijskiego piłkarza.

Wyobraźcie sobie słowa "jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy", wypowiedziane przez brązowitkiego Brazylijczyka, który polskim na co dzień się nie posługuje. Być może to zdenerwowało pewnego polskiego górnika, bohatera walki z komunizmem, który tak się wściekł, że poinformował prezydenta RP, że dziękuje za ordery, które wręczyła mu ta sama ręka, jaka przyjęła w poczet Polaków Brazylijczyka (z drugiej strony, jeśli Polonia w Brazylii śpiewa "Brasil, Brasil... o kraju ten...", to czemu piłkarz nie może podśpiewywać polskiego hymnu?).

Nie wiem do końca jak interpretować górnicy sprzeciw. Po obejrzeniu wypowiedzi oddawacza orderów wydawało mi się, że chodzi o kwestię narodową, o krytykę składu polskiej reprezentacji, do której przyjęto nie- Polaka. Z takim podejściem zgodzić się nie mogę, być może z racji własnego, mieszanego wchodnio- zachodniego i tylko połowicznie zakorzenionego w polskiej kulturze (po ćwiartce z każdej strony) pochodzenia. Nie mogę zgodzić się z polskością definiowaną jako wąska, genetyczna wspólnota, która, o czym Maciej Giertych nie pamięta, bo jeśli odrzucił ewolucję, mógł odrzucić fakty historyczne, nie istnieje. Tak jak Polanie nie byli Polakami w dzisiejszym rozumieniu, a czasy świetności Rzeczypospolitej przypadają na jej największą narodową różnorodność.

Gdyby natomiast górnik przyjął inną argumentację- mianowicie- co to za państwo, które nie jest w stanie dobrze wyszkolić własnych piłkarzy i musi zapożyczać się za oceanem w ludzkie kadry, uściskałbym mu z przyjemnością dłoń. A to tylko jedna strona medalu. Bo jeśli jest u nas miejsce dla Brazylijczyka kopiącego piłkę, przylatującego do nas ot tak, bez wysiłku, to czemu nie chcemy pozwolić zostać u nas silnym, zdeterminowanym ludziom, którzy przyjechali z Wietnamu, Czeczenii, albo jeszcze z innych krajów, by w Polsce spędzić spokojne życie? Jak widać, zakłamanie państwowych struktur nie ma granic. W świecie piłki nożnej, która ze sportu stała się wielkim biznesem i w powojennej Europie, widać zastępuje działania zbrojne, warto skupiać się na doraźnych zakupach brazylijskiej broni niż przyjąć pracowitych ludzi, wcale nie zamierzających traktować Polski jako przejściowego obozu.

Może do wątpliwości zbuntowanego górnika (dziwnym trafem to działacz PO) warto byłoby zapytać o pogląd w tej sprawie pewną Czeczenkę, która jakiś czas temu, nielegalnie przedzierając się przez polskie góry, straciła dwie córki. Pewnie gdyby przeszły razem i żywe zostały złapane przez straż graniczną, dawno deportowano by je do Czeczenii...



*Ilustracja 2: Pamiętaj nie to, że WYGRALIŚMY, ale to, że... WALCZYLIŚMY*

# Pedagogika a terror

*Pedagodzy a kontrwywiad*



Absolwentki i absolwenci pedagogiki mogą pracować w przeróżnych miejscach. Oprócz posady szkolnego pedagoga od niegrzecznych dzieci, więziennego cenzora listów czy biurokraty pomocy społecznej, dobrze płatna jest praca windykatora. Ale nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że pedagogów potrzeba w kontrwywiadzie! Nie trafiłem wprawdzie na ogłoszenie o pracę, ale na taką malutką wzmiankę (Copenhagen Post, 17.3.2008) o tym, że PET (Politiets Efterretningstjeneste) czyli duński kontrwywiad z sukcesami stosuje teraz miękkie metody przeciwdziałania ekstremizmowi i terroryzmowi. Dla swoich „grup docelowych” organizują spotkania i dyskusje. Ot, pomagają sfrustrowanym młodym ludziom poukładać sobie życie. Inaczej gotowi oni przystąpić do organizacji terrorystycznych. Kontrwywiad ma co robić, bo jak twierdzi jego szef, rośnie ilość młodych ludzi zainteresowanych ekstremizmem. Ale wywiadowcy - w przeciwieństwie do pedagogów cywilnych - mogą śmiać się, gdy ktoś pyta o efektywność ich pracy pedagogicznej. Oni nawet nie powinni mówić, gdzie i z kim pracują.

Utarło się myślenie, że nowinki technologiczne przychodzą do cywila z armii, choć Japonia nie może być tego przykładem. Ale obecnie, gdy uwagę skupiają konflikty asymetryczne, armia ssie tzw. humanistykę jak może. Po „nomadach” patrolujących palestyńskie getta, komputerowych grach promujących obalanie niechcianych rządów ("A Force More Powerful"), następnym krokiem będą już chyba tylko wojskowe eksperymenty z samoorganizacją. Aż w końcu zobaczymy grupy „doskonałych” anarchistów ze służb specjalnych.

Ale powstaje pytanie: czy użycie narzędzia w celach policyjnych czy wojskowych nie redefiniuje jego znaczenia w pozostałych obszarach? To znaczy, czy możemy być ślepi na cele jakim służą pedagogiczne metody pracy? Czy pedagogika jest rzeczywiście nauką o opiece, nauczaniu i wychowywaniu, skoro absolwenci pedagogiki nie mają na te obszary żadnego w Polsce wpływu? A może po prostu, pedagogika jest nauką o pozawojskowych metodach przełamania indywidualnego oporu "w czasie wojny i pokoju"\* ? W jakże świeżym świetle stawia to wszystkie dotychczasowe dokonania myśli pedagogicznej!

A kiedy opór przestaje być indywidualny, a zaczyna być zorganizowany - wkraczają... ekonomiści! Ich wkładu w rozumienie wojny nie sposób przecenić. Jeżeli głównodowodzący siłami koalicyjnymi (Gen. Petraeus) sytuację w Iraku określa mianem "etniczno-religijna rywalizacja", to wiemy że należy spodziewać się wzrostu popytu na życie w regionie "ceteris paribus"\*\*. Czymże jest więc dzisiaj ekonomia?

\* „w czasie wojny i pokoju” - fraza kluczowa dla wszystkich wojskowych taksonomii.

\*\* „ceteris paribus” - zwrot, którym kończyć powinna się każda prognoza ekonomisty. Złośliwie tłumaczony oznacza: „tylko pod warunkiem, że nie istnieje coś, czego nie wzięliśmy pod uwagę”.

Dominique Radetzky

# Własność intelektualna

*a upadek liberalnego kapitalizmu*



Udało mi się całkiem niedawno przeczytać wywiad ze Sławojem Żiżkiem (jakaś moda na niego nastąpiła, ale cóż, warto znać trendy, dzięki temu wiadomo czasami wobec czego się buntować). Otóż Żiżek wymienia kilka zwiastunów upadku liberalnego kapitalizmu. Skupię się na pierwszych trzech, bo tak naprawdę interesuje mnie dzisiaj "ten trzeci". Pierwszym jest ekologia, która jest jeszcze traktowana jako jeden z obszarów rynku i jest "zasysana" przez kapitalizm. Ale gdy tylko dojdzie do katastrofy większej niż ta w Czarnobylu (Żiżek mówi o "dziesięć razy większej"), system się załamie, bo nikomu nie będzie się opłacało podjąć zbyt dużego finansowego ryzyka uczestnictwa w redukcji skutków katastrofy (nasuwa mi się od razu skojarzenie z Huraganem Catrina i zachowaniem rządu federalnego, choć na pewno nie było to wydarzenie dziesięć razy większe, a może nawet nie dorastało do pięt popromiennym mutantom).

Drugim zwiastunem upadku są nowe formy segregacji i apartheidu. Przykładem niech będą powiększające się slumsy, które zamieszkiwane przez miliony osób zostały osierocone przez państwo, nie dające sobie rady na tych obszarach, nie mające rzeczywistego zwierzchnictwa. Slumsy są potencjalnie wybuchowym obszarem, z którym, według opinii Żiżka, liberalny kapitalizm nie jest w stanie sobie poradzić. Trzeci zwiastun to dominacja własności prywatnej. Żiżek nie jest jednak "paleolitycznym marksistą", co próbował zasugerować prowadzący debatę redaktor. Dlatego, że nie chodzi mu o własność materialną. Jak pisze Żiżek:

"Chcę tylko powiedzieć, że nastąpiło przesunięcie akcentów od posiadania przedmiotów materialnych do posiadania tak zwanej własności intelektualnej. Co to zmienia? Otóż gdybyśmy pozostawili sprawę jedynie wolnemu rynkowi, dochodziłoby do rozmaitych paradoksów: np. firmy, które opatentują fragmenty genomu, byłyby właścicielami formuły naszego ciała. Zresztą dysfunkcyjność bezwarunkowej ochrony własności intelektualnej widać już dzisiaj: kiedy w USA wypuszcza się na rynek nowy produkt, koszt systemu ochrony przed skopowaniem jest często wyższy niż koszt samego produktu".

Przytaczałem już kiedyś poglądy Żiżka dotyczące wirtualnej rewolucji. Rewolucji, która za pałac zimowy powinna uznać sferę wirtualnej rzeczywistości, a raczej globalną sieć komunikacyjną. Zatem walka z neoliberalizmem powinna się w dużej mierze toczyć w przestrzeni informacyjnej, w globalnej informacyjnej sieci. Z jednej strony musi to być publikacja krytycznych sądów na temat liberalnego kapitalizmu, głosów sprzeciwu i prowadzenie debaty na temat możliwych alternatyw (np. co po kapitalizmie?), skupianie różnorodnych zwolenników zmiany. Z drugiej powinna to być walka o uwolnienie informacji. Czyli infoanarchistyczna walka o "dostęp do sumy ludzkiej wiedzy", którą to wiedzę można również twórczo wykorzystywać. Wydaje mi się, że walcząc o informację, warto sięgnąć do hakerskich wartości, przykładów hakerskiej współpracy (jak np. GNU/ Linux). Oczywiście hakerzy inspirują mnóstwo projektów realizowanych w innych obszarach kultury niż oprogramowanie- przykładem jest choćby działalność Fundacji Wikimedia i rozprzestrzenianie dzięki sieci różnego rodzaju wolnych projektów i inicjatyw opartych o wolne licencje publikowania treści. Wiadomo, licencja licencji nierówna, ale jest to jednak pewna zmiana.

Być może coraz większa wolność, otwartość, dostępność i oddolność, jaką obserwuje się w internecie, przeważa nad logiką zamknięcia, m.in. ze względu na lepsze dopasowanie swobodnej, sieciowej komunikacji i współpracy do otwartej, niehierarchicznej struktury hipertekstu i otwartej infrastruktury globalnej informacyjnej sieci. Zatem raz jeszcze: informacja chce być wolna! Niech niesie nas hakerskie hasło...

Zabawne jest to, że w dominujących mediach słowo haker stało się synonimem cyber-włamywacza, cyber-kryminalisty, a może nawet cyber-terrorysty, który walczy z systemem w domowym zaciszu przed ekranem komputera. Być może nie warto zaprzeczać pejoratywnemu zabarwieniu terminu i chętnie w tym znaczeniu go używać. Bo "terroryzm informacyjny", który nie jest absolutnie związany z przemocą, ale może raczej ze zmultiplikowaną, sieciową informacją (być może "wykradzioną" posiadaczom praw autorskich vide p2p), która dzięki sieci szybko się rozprzestrzenia, jest jedną z sensownych strategii walki o przestrzeń informacyjną, która w obecnych zero-jedynkowych czasach stała się synonimem przestrzeni publicznej. Realną przestrzeń publiczną już zawłaszczono, ale w "nierealu" nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego, skopiowanego miliardy razy, słowa.

ps wojenna retoryka jest jak najbardziej wskazana, bo tylko dając odpór, a nie jedynie biernie opierając, można rzeczywiście dokonać jakiegokolwiek zmiany. Zwłaszcza, że wojenny język i strategiczne planowanie jest domeną neoliberalnego działania...

Gen Disobey

## Przyszłość pracy:

*elastycznie, dorywczo i nomadycznie*



Elastyczne formy zatrudnienia jakie znacie są niczym wobec tego, co czeka nas w niedalekiej przyszłości. Japończycy już stworzyli serwis otet.jp, który z czasem ma szansę stworzyć raj nieodróżnialny od piekła. Początkowa idea jest prosta - Otet to sieciowa giełda pracy, lecz zamiast komputerów, łączy posiadaczy telefonów komórkowych. Niewielka różnica? Ponieważ telefony korzystają z GPS, serwis umożliwia płynne dopasowywanie się ofert do aktualnej pozycji użytkownika/pracownika. Spacerujesz po mieście i nagle dowiadujesz się, że w restauracji opodal potrzebny jest ktoś do pozmywania naczyń, albo zastępstwo w pobliskiej szkole. Wiarygodność pracodawcy możesz oczywiście sprawdzić

przeglądając komentarze poprzednich pracowników. A gdyby tak połączyć serwis z zaawansowanym systemem monitoringu? Wtedy wycenie można by poddać wszelkiego typu aktywności spontanicznie pojawiające się w przestrzeni publicznej! A zamiast na komórce wysokość honorarium wyświetlana byłaby na ekranie specjalnych okularów (A może implanty? Na implanty to trzeba sobie zasłużyć!). Wrzucenie leżącego na chodniku papierka do śmietnika, pomoc starszej pani w przejściu przez jezdnię, umycie szyby w samochodzie, pomoc w ustawieniu towaru na półkach, chwilowe zastąpienie sprzedawcy w sklepie, wskazanie drogi zagubionemu turyście - te wszystkie drobne aktywności/uprzejmości, do których tak trudno było kiedyś przekonać młodych ludzi mogą zostać wycenione! Ale oczywiście nie tylko to. Jest także miejsce na specjalne oferty. Inteligentny system identyfikacji i zarządzania może wycenić, ile warte jest nakłonienie innego przechodnia do przystąpienia do naszego serwisu. Można będzie zarobić zachęcając wagarowicza

do powrotu do szkoły, a trochę mniej jeśli uda się jedynie zatrzymać go na miejscu do czasu przybycia policji. Niesłychanym szczęściem zawodowym byłoby znalezienie się w pobliżu napadu na bank - jeszcze przed bohaterским zatrzymaniem bandytów człowiek mógłby sobie skalkulować ryzyko interwencji, wiedząc na pewno, ile taka dorywcza praca jest rzeczywiście warta. Byłoby też z pewnością miejsce na wspólną zabawę. Wyobraźcie sobie użytkownika, który mając trochę pieniędzy do wydania zaproponuje pewną sumę każdemu, kto w określonym miejscu i czasie spontanicznie zacznie udawać np. żabę. Przy odpowiednich środkach flash-moby mogłyby w końcu osiągnąć jakieś poważniejsze rozmiary. A działania szkodliwe społecznie nie będą wyceniane, co powinno zniechęcić zwłaszcza ludzi zainteresowanych szybkim wzbogaceniem się. Oczywiście efektywność sieci zależy od jej gęstości i zasięgu. Mogłoby się zdarzyć i tak, że wędrując po mieście weszlibyśmy na obszar, gdzie nikt niczego nie proponuje. Ale inteligentny program nawigacyjny mógłby nas przed takimi miejscami chronić i z góry ostrzegać.

Dorywczy pracownik wiódł będzie spontaniczne życie. Nie będzie znał miejsca ani godzin swej pracy. Wychodząc z domu będzie jak włóczęga nomada przecinał szlaki bez z góry określonego celu. Swym zaangażowaniem w sprawy społeczne przypominał będzie prawdziwego aktywistę, zaangażowanego na poziomie dawniej możliwym do osiągnięcia jedynie anarchistom, ludziom głęboko religijnym lub idealistom. Oczywiście zawsze są kontestatorzy, ale każdy człowiek jako pełnoprawny użytkownik będzie mógł proponować innym zmianę świata na jeszcze lepszy, a jego/jej oferta wraz z proponowaną ceną zostanie błyskawicznie zweryfikowana przez rynek.

Czy twoja szkoła przygotowuje cię do takiej przyszłości?

Czy "elastyczne formy zatrudnienia" to rodzaj ćwiczeń wytrzymałościowych z twojej własnej (!) elastyczności?

Czy umiesz stworzyć nowoczesny związek zawodowy?

Czy tzw. pracodawca to człowiek czy skrypt homo economicus?

San Precario

## Ideowa mizéria, panowanie PR



Do wakacji trochę zostało, a mnie już bokiem wychodzi polityczne plażowanie. To tabloidowe piarowskie bicie piany, czarowanie pustymi gestami i słowami.

Aczkolwiek w tym głodzie za polityką nie ma grama tęsknoty za rozpierduchą w stylu PiS i jego niesławnych partnerów. Jeszcze dziś czuję ulgę, że ta konserwatywna, reakcyjna, w sumie kanapowa, rewolta jest za nami.

Najzwyczajniej brakuje mi publicznych sporów o sprawy, o które kruszyć warto kopie: o edukację (czy studia winny być płatne?), o prawa seksualnych mniejszości (małżeństwa homoseksualne?), o pozycję Kościoła w państwie, o zasadność penalizacji zażywania narkotyków, o jednomandatowe okręgi wyborcze.

Tematów powiązanych wprost z modernizacją kraju jest wiele. I nie jest tak, że jej sukces zależy od

tego, czy wykorzystamy Euro 2012. To infantylne uproszczenie, bo drogi, porty lotnicze i hotele nie decydują o modelu ustrojowym państwa.

A ja chciałbym wiedzieć, czy za parę lat bliżej będzie nam do liberalnej Holandii, socjalnej Skandynawii, czy zachowawczej Austrii.

Zresztą konflikty ideowe podtrzymują zaangażowanie w sprawy publiczne. Służą demokracji, utwierdzając obywatela w przekonaniu, iż procesy polityczne są po części przejrzyste, a ważne decyzje nie zapadają za spuszczoną kurtyną, lecz są przedmiotem otwartych negocjacji.

Nie mogę pojąć, co sprawia, że słuszna skądinąd agonia populistycznych piniaczy spod znaków LPR i Samoobrony, rozkład dychawicznego SLD i konanie PiS, oznacza zanik jakiegokolwiek politycznej i intelektualnej alternatywy dla konserwatywnej PO. Że partia Donalda Tuska takiego oponenta nie ma, to fakt niezaprzeczalny.

Z racji tej mizerni, a może ją podtrzymując, aktorzy sceny politycznej ekscytują się potknięciami lidera sondażowego peletonu, upatrując w nich szans dla siebie. Jeśli strzeli gafę to może wyborcy go odstrzelą i my wskoczmy na jego miejsce – oto finezja partyjnych strategów, którzy w cynicznym wyczekiwaniu na odwrócenie społecznych sympatii, są zgodni niezależnie, jak bardzo gryzą się ze sobą barwy ich partyjnych sztandarów.

Gen Disobey

## Kapitalizm was wyzwoli



Czekając na najnowszą książkę (kolejka w bibliotece) Naomi Klein - "Doktrynę Szoku", przysłuchiwałem się rozmowie (Democracy Now, 23.9.2007) autorki z wieloletnim przewodniczącym Rady Gubernatorów Systemu Rezerwy Federalnej US of A Alanem Greenspanem. Mimo przewagi wiedzy, na zarzut wprowadzania neoliberalizmu przy pomocy przewrotów, Greenspan dał się wypuścić w wypowiedź:

"Pytaniem na które musimy jednak odpowiedzieć jest: jaki system działa lepiej? I myślę, że wszystkie wydarzenia, które przydarzyły się światu od czasów Oświecenia, tj. od początku osiemnastego wieku, dowodzą, że ten system [kapitalizm] jest jedynym, który wydaje się działać dobrze. To znaczy, wszystkie formy socjalistycznych budowli, których wydajesz się cichą zwolenniczką, zawiodły."

Czyli historyczna konieczność, wciąż TINA, "koniec historii" itp.

Nic jednak nie trwa wiecznie, a najnowszą książkę Klein, poza amerykańskimi okropieństwami, pokazuje narzędzie, które niekoniecznie musi być wykorzystywane przeciwko dobru publicznemu. Szok można zaaranżować każdemu, kto akurat zajęty jest czym innym. I jak tu nie pomyśleć o giełdowym krachu?! Skoro go nie ma, to znaczy że nadchodzi. Biorąc po uwagę: kurs dolara, ceny ropy, przewartościowanie cen nieruchomości; wysokość zadłużenia publicznego USA i zadłużenia mieszkańców (kredyty hipoteczne) - to już samo to wydaje się niebezpieczne. Do tego dochodzą: ciągnąca się wojna i coraz częstsze katastrofy ekologiczne. Kondycja korporacji, a co za tym idzie -

stan oszczędności emerytalnych nigdy wcześniej nie zależał tak bardzo od ich finansowych aktywności, bo wszystko co "rzeczywiste" ulokowano w Chinach. Imperium jest w stanie wytrzymać uwikłanie (nawet globalne) w jeden typ konfliktu, ale czy wytrzyma nałożenie się kilku typów problemów? Wydaje się, że jedyne co trzyma indeksy w górze to inercja zbiorowego optymizmu.

Natchnieni energią z kosmosu, ekologiczni aktywiści (nie wszyscy) często chwytają się za ręce i wspólną medytacją chcą przenieść współtowarzyszy, tj. braci i siostry na wyższy poziom optymizmu, gdzie wszystkie problemy rozwiązują się same. Optymizm wbudowany jest we wszystko: od językowych konwencji, przez pedagogikę krytyczną (bo upelnomocnienie), po oczekiwania dotyczące kursów giełdowych. Większość "strategów" po przeprowadzeniu np. analizy SWOT chce koncentrować się tylko na Możliwościach. DYGRESJA: Niezwykłym wprost przykładem porażenia optymizmem jest dla mnie współpraca duńsko-amerykańsko-grenlandzka, która układa się miło, mimo że priorytetem jednej ze stron jest koncentracja na tzw. nieuchronnych możliwościach (czytaj: stopień się lodowca), czyli de facto na sytuacji, w której jeden z partnerów zostanie zatopiony. I nie budzi to oburzenia w Danii. Tak jak amerykańskie filmy nie są możliwe bez happyendów (prócz kilku wyjątków), tak giełdowy kapitał nie może mnożyć się (czyli istnieć) bez optymizmu.

Podobno optymistyczną odpowiedzią na diagnozę stanu rzeczywistości (czyli na pesymizm) "No Logo" Naomi Klein był film "The Take", gdzie pokazywano jak kryzys ekonomiczny w Argentynie (1999-2002) otworzył przestrzeń do tak radykalnych działań jak przejmowanie fabryk przez robotników (spełnienie marzeń nie tylko anarcho-syndykalistów). Odebrałem jednak ten film jako szczególnie pesymistyczny, a jego przygnębiającą końcówkę zebrać można nawet w maksimum: cokolwiek wymyślisz i spróbujesz realizować, musisz umieć obronić to przed policją. Nie wszystkich pociągają mocno skonwencjonalizowane walki uliczne. Skonwencjonalizowane, bo przecież nie chodzi w nich o to, żeby wygrać - wtedy przecież wchodzi wojsko! A do (coraz bardziej i częściej) zawodowych żołnierzy nie wyjdą matki i siostry z kwiatami. Zawodowa armia uniemożliwia obalenie reżimów w stylu "kolorowych rewolucji" (Gruzja-różana, Ukraina-pomarańczowa, Kirgistan-tulipanowa, Liban-cedrowa), czyli zgodnie z instrukcjami z symulatorów (patrz gra: "A Force More Powerful"). Widok przedstawicieli argentyńskiej klasy średniej niszczących witryny banków i bankomaty pozostają jednymi z najzabawniejszych scen filmu.

W oczekiwaniu na to, co nieuchronne można pomyśleć nad granicami tego, co możliwe - nad zrębami nowego porządku. Pojawia się tu oczywiście problem środków i celów. Ale być może "przepelnienie" środków ułatwi refleksję nad pustymi/czekającymi celami.

Zmiany prawa handlowego, a w szczególności funkcjonowania spółek akcyjnych mogłyby być nawet takie:

- \* Korporacje istnieją na czas określony.

- \* Konieczność wąskiego definiowania zakresu działania spółki i sądowa likwidacja spółki po osiągnięciu celu działalności.

- \* Zakaz posiadania udziałów w spółkach innej branży.

[więcej inspiracji szukaj w książce Joela Bakana pt. "Korporacja: patologiczna pogoń za zyskiem i władzą"]

Kapitalizm to niezwykle żywotny system i pewnie zacząłby żywić się tymi ograniczeniami kanalizując energię vulgus oeconomici (pl homo oeconomicus) w obszarach, na których rynek

tworzy najmniej efektów ubocznych.

Terapeutyczny mógłby okazać się też odwrót od indywidualizmu przez uczynienie podmiotem nie jednostki, ale choćby pary. Przynajmniej w sferach kontrolowanych przez państwo. Tak, by: nie można się było ubiegać o stypendia w pojedynkę; bilety wstępu też zawsze były zbiorowe; pojedynczo nie można by jeździć samochodem; prace magisterskie tworzone w parach byłyby wtedy pewnie dwie; nagrody i odznaczenia też można by przyznawać na ogół kolektywom. A pojedynczo można by popełniać przestępstwa i zajmować cele ;)

Oczywiście w "nowym porządku" należałoby się też przyjrzeć 'dawnym' pracownikom usług reklamowych i kredytowych. Może jakaś lustracja agentów? Odsunięcie od możliwości pełnienia funkcji publicznych wszystkich skorumpowanych myśleniem typu homo homini lupus (człowiek człowiekowi wilkiem) wydaje się trochę zbyt... pochopne, ale przecież to ani teraz, ani nie na zawsze.

Większość ludzi chyba skłonnych jest czekać aż na zmiany zdecydują się Amerykanie Północni. Sądząc po aktywności Naomi Klein, Kanadyjczycy starają się przynajmniej coś proponować. Ale ich południowi sąsiedzi... możliwości tzw. społeczeństwa obywatelskiego wielu skłonnych jest oceniać po dotychczasowych efektach - 150 lat od wojny domowej, a oni tam wciąż nie zdołali się rozbroić.

Gen Disobey

## Walka klas, część III

*Klasa inna niż nasza*



Chyba nigdzie nie widać tak dobrze polskiego społeczeństwa klasowego jak poza krajem. W Polsce zwykle żyjemy między „swoimi”, podróżując mieszamy się.

Pierwszy problem jaki mnie nurtuje jest natury fenomenologicznej. Jak to jest, że Polak – z dużej odległości – rozpoznaje Polaka? Po prostu, widzi się i się wie. Oczywiście nie zawsze jest łatwo, nie każdego się rozpoznaje i można się pomylić. Ale fenomen wizualnej rozpoznawalności Polaka trwa od lat i zaprzętał już polską literaturę. W czasach PRL-u emigranci rozpoznawali się najprawdopodobniej po ubiorze. Tezę o polskości postawić można

było w dwu przypadkach: (a) ktoś szarzej od tła ubrany, znaczy że świeży przybysz i gdy (b) ktoś „przesadnie” nieszarzo ubrany, znaczy odreagowuje "polskość" - coś sobie sprawił (nie żeby zaraz koniecznie wszystko nowe), ale coś tak dodał, że pasuje do reszty w "polski" jakiś sposób tylko.

Ale co współcześnie sprawia, że jeden Polak dla drugiego tak oczywistym Polakiem „na oko”? Zasłyszana teza o tym, że ubierają się do roboty jak „na niedzielę” wydaje mi się przynależeć do dawnej rzeczywistości. Robotnicy w Danii, spośród których „wyławiam” Polaków, ubrani są bardzo podobnie. Od tła odstają natomiast... wymiarami! Polaków rozpoznają po tym, że są nienaturalnie „nabici”. Duńczycy dużo czasu spędzają na siłowniach (na ogół wprawdzie biegając), ale używanie sterydów jest zakazane. To znaczy, fitness kluby zobowiązały się pozbawiać członkostwa ludzi biorących doping, bo chcą promować zdrowy tryb życia. W Polsce natomiast, w swoim czasie

ogromne ilości mężczyzn "dopompowywało się" chemią.

Przede wszystkim potrzeba bycia fizycznie silnym wynikała ze wzrostu, przypadkowej nawet, przemocy w okresie tzw. transformacji ustrojowej. Ale nie wszyscy mężczyźni postawili wszystko na ciało. Takiego wyboru dokonali ci, którzy ciężyli ku... klasie robotniczej. Gdy oszczędności w bankach traciły na wartości, a związki zawodowe rozbił strach przed bezrobociem, było jasne, że jedyne co tak naprawdę jest w posiadaniu członków klasy robotniczej to CIAŁO. Inwestycje w ciało nie są tylko polską specyfiką. Podobną zbieżność można zauważyć między kryzysem naftowym, a popularnością rękami i nogami wymierzającego sprawiedliwość Bruce'a Lee. Co nawet zabawne, wybór sterydów być może determinował losy mężczyzn potencjalnie przynależnych do innych klas. Przesadnie rozbudowanym proponowano takie prace, w których można było te ich mięśnie zdyskontować.

A jak rozpoznaje się polskie kobiety na emigracji? Otóż, nie rozpoznaje się! Przynajmniej nie w Danii. Polska kobieta jest żywcem wyjęta z zikowej wersji psychoanalizy lacanowskiej. Polka, a raczej jej doskwierający brak, jest symptomem polskich mężczyzn z klasy pracującej. Po tym ich rozpoznajemy. Że są sami, to widać na promie Świnoujście-Kopenhaga. Zwłaszcza w okolicach świąt, gdy Polacy wracają do domów. Ich kobiety - jeśli w ogóle jest ktoś taki - zostają z dziećmi w Polsce. Bo do Danii często przyjeżdża się do pracy na rok. Ze względu na preferencyjne rabaty w systemie podatkowym, które wygasają, gdy się tu zostaje na stałe. Ostatnio na promie miałem nawet wrażenie, że z dziewczynami płyną tylko studenci. Ale taka przejrzysta sytuacja była w strefach dla posiadaczy najtańszych biletów. Trudno mi było stwierdzić jak to jest w kabinach. A o tym jak ten brak doskwiera można się przekonać przeglądając fora i ogłoszenia na portalu Polonia.dk. Wielu jest tych, którym chciałoby się choćby tylko „pogadać po ludzku”, czyli po polsku.

Gen Disobey

## Walka klas, część VI

*Niekierkaardowskie powtórzenia: Sprawa Proroka i Międzynarodówka 2.0*



Kiedy młodzieżówki socjalistyczne organizują w Danii dyskusje, to robią zastrzeżenie – rozmawiamy o wszystkim tylko nie o karykaturach Mahometa. Dlaczego? Bo dyskurs debaty publicznej został wprost przeorany koniecznością opowiedzenia się po którejś ze stron, ale po żadnej z nich nie widać optymizmu. Duńczycy jeszcze przed pierwszą publikacją karykatur (2005) słynęli z niewybrednego poczucia humoru, ale to nie znaczy, że nie mają do niego smaku. Przynajmniej wg sondaży, zdecydowana większość obywateli (blisko 60%) jest niezadowolona z tego - odgrzewanego w 2008 roku, dowcipu. Nie było to powtórzenie rewolucyjne, takie w sensie Kirkegaarda, ale zwykła prowokacja. Tym różniła się od wydarzenia sprzed 2 lat, że tę zorganizowały już wszystkie główne gazety. No i reporterzy czekali gotowi w Pakistanie. Dobrze, że choć 50 studentów raczyło wyjść na ulicę tego 169 milionowym kraju, bo nie wiadomo co pokazałaby telewizja. Z czasem demonstracje rosły, choć i tak... wiało nudą.

Ale ta prowokacja jest przełomem, a przynajmniej znakiem czasów, w polityce. Chyba po raz pierwszy media odważyły się zorganizować życie polityczne Danii. Rzekomo dla wyartykułowania jakiś wartości, walczące ze spadającą sprzedażą (patrz: konkurencja darmowych gazet) zawiązały spisek w celu zwiększenia popytu na swoje produkty! Mając okazję do przyciągnięcia czytelników, gazety w innych krajach podkręcały konflikt np. przez „podrasowanie” lub dołożenie dodatkowej karykatury. W rezultacie wszystkie gazety schodzą jak rzadko. Nareszcie nie ma problemu z tematami – nawet historycy mają wzięcie! Żeby debatować na poziomie warto przecież wiedzieć co Goethe czy Tołstoj myśleli o Proroku.

A demokratycznie wybrani politycy mają teraz jeździć po świecie, ścisnąć się z innymi politykami, łagodzić konflikty, wyjaśniać, obiecywać poprawę i wymianę kulturalną?! Wolne media miały pilnować interesów wyborców, patrzeć politykom na ręce, zabezpieczać system polityczny przed degeneracją. Wiem, ideał. W XX wieku nauczyliśmy się, że media bywają stroną w konfliktach: (a) propaganda państwowa, (b) propaganda kapitalistyczna (np. koncerty medialne częścią korporacji uwikłanych w budowę elektrowni atomowych). Ale XXI wiek przynosi nowości – media zajęły się wywoływaniem konfliktów przerażających dla ich własnych klientów! I to w dodatku gazety – może szansą na ratunek jest całkowity upadek czytelnictwa?

Jak to się jednak stało, że taki mały kraj jak Dania znalazł się w centrum takiej dużej wojny medialnej? Początkowo (2005) karykatury miały trafiać tylko w gusta czytelników Jylland Posten. I trafiały w te gusta, bo wielu Duńczyków z NIESMAKIEM przyglądało się konserwatyzmowi obyczajowemu w ich społeczeństwie. Kategorią opisową tego zjawiska była oczywiście „islamizacja”. Śmiejąc się z karykatur, śmieli się z też z części swojego społeczeństwa. Problem jednak w tym, że gazety nie ze wszystkich chciały się śmiać po równo. Karykatury Jezusa z Bushem i duńskimi żołnierzami w Iraku nie bawiłyby już tak bardzo grupy docelowej! Przedstawiciele "underclass" nie mieli jak odgryźć się za dowcip. Pojawił się klasyczny problem "polityki głosu".

Okazało się jednak, że ci, którzy w duńskim społeczeństwie stanowią "podklasę", mają wpływy w krajach swego pochodzenia. Przecież ktoś te wieści z Danii tłumaczy. Co więcej, potrafią nawet manipulować informacją tak, aby była wystarczająco radykalna żeby nastraszyć Duńczyków z "pochodzeniem etnicznym nie-innym niż duńskie". Tak oto, lokalna wojna klasowa stała się konfliktem międzynarodowym. Ciekawe jest jednak to, że w pojedynku na miny i karykatury widać oddolnie wybudowaną "międzynarodówkę", a nie ma treści klasowych. Wiele osób rzeczywiście wierzy, że to co łączy Europejczyków pochodzących z Pakistanu i z Turcji to Islam, a nie położenie społeczne! Jedną z przyczyn jest pewnie i to, że "underclass" jest ogromnie zróżnicowana wewnątrz. Przecież to zarówno uchodźcy jak i dość bogaci i wykształceni przedstawiciele wielu krajów. Nie akceptują deklasacji, utrzymują więzi z krajami, w których znaczyli coś więcej. Ale czas robi swoje, swoboda posługiwania się ojczystymi językami zanika. A w Danii uczyć się "swoich" języków można - owszem, ale jeśli pomaga to w osiągnięciu wyższych kompetencji w języku podstawowym, czyli duńskim. Tworzenia się nowych idei nie jest już więc w stanie zapewnić podklasa, pozostają jej tylko wpływy finansowe. W rezultacie, ta "międzynarodówka" to typowy produkt 2.0 – emigranci stawiają, tylko proszę wypełnijcie go treścią! Może i dlatego diaspory na całym świecie z niejakim upodobaniem finansują radykałów. Czy czeka to i Polskę?

A Duńska Socjalistyczna Partia Ludowa na przekór koncer[t/n]om nienawiści próbuje przedefiniować problem podziałów w społeczeństwie mówiąc o klasach społecznych i konieczności walki z rozwarstwieniem się społeczeństwa. Partia ta cieszy się rosnącym poparciem. Okazuje się jednak, że nie zawsze poparcie jest powodem do optymizmu. Lider partii Villy Søvndal, w reakcji na groźby jednego z islamskich stowarzyszeń, powiedział, żeby poszli do diabła. Zdecydowanie

wolałby pogadać o klasach społecznych, ale spotkania w mediach są o karykaturach. Po kilku dniach egipska prasa ogłosiła, że lider opozycji chce przepędzić wszystkich Muzułmanów. Na nic się zdało tłumaczenie, że chodziło tylko o radykałów z jednego stowarzyszenia, poparcie dla Socialistisk Folkeparti... rośnie. Niektórzy obywatele potrafią nawet podejść na przystanku i poklepać liderów partii w ramię mówiąc „Dobrze powiedziane. Trzeba pokazać im, gdzie ich miejsce.” Członkowie partii niepokoją się, bo jak mają mówić to, co chcą powiedzieć nie mówiąc tego, co ludzie nauczyli się słyszeć?

Dominique Radetzky

## Auto(?)pedagogika

*Garaż jako centrum kultury*



Niedaleko przed Słupskiem, na dawnym awaryjnym pasie startowym dla nieistniejącej już jednostki wojskowej, robimy postój. Kierowca parkuje tuż obok spokojnej rodzinki, która początkowo obserwuje nas z żywym zainteresowaniem. Kiedy jednak wytaczamy się z busa, otwieramy dla orzeźwienia piwo i dwudziestoletnim fiatem pandą dojeżdża do nas kolejna część ekipy, okazuje się, że jesteśmy bardziej przerażający niż "palący gumę" tuż obok dresiarze z BMW. Może to hard core punk sączący się z głośnika, a może punki, relikty przeszłości są dla współczesnych spokojnych rodziców mniej przewidywalni niż chłopaki z paskami na dresie.

Po wjeździe do Słupska przypominają mi się obrazki z dzieciństwa-wyjazd na zakupy lub do lekarza specjalisty z rodzicami do wojewódzkiego miasta, to było coś. Teraz miasto nie może się odnaleźć.

Co rusz podnosi wspólnie z Koszalinem głowę, walcząc o Województwo Środkowopomorskie, ale już z coraz mniejszym przekonaniem. Cały czas zastanawiam się, jak będzie wyglądać miejsce koncertu. Obejrzałem zdjęcia z ubiegłego roku, zespoły wchodziły do garażu, gdzie ledwo mieściła się perkusja i przy otwartych drzwiach dawały koncert. Publika rozlewała się pod drzwiami. Po prostu "Garocin", czyli połączenie szarego, rozpadającego się garażu, stojącego w ciągu kilkudziesięciu podobnych, z duchem Jarocina. Mówicie- niemożliwe? Zdjęcia dały mi do myślenia- ale wciąż wątpię w możliwość odtworzenia ducha festiwalu z lat osiemdziesiątych. Garaż to jednak garaż, a nie wielka scena...

Dojechaliśmy do miejsca koncertu, kończy się asfalt, pojawiają dziury i widzimy ciągi garaży znane ze zdjęć. Uśmiechy zdziwienia i szoku robią się coraz szersze. Mijamy kilka rzędów garaży i dojeżdżamy do... całkiem sporej sceny z zadaszeniem, otoczonej taśmą, odgradzającą od publiczności. Obok namioty organizatorów i, nie da się ukryć, czujemy wielką ulgę. Scena otoczona od tyłu przebiegającą jakieś sto metrów dalej kolejową linią, chyba granicą Słupska, bo niczego nie można za nią już dojrzeć. Przed sceną dziesiątki nastolatków, ale i ludzi po trzydziestce. Irokezy, glany, skóry. Młodziutka dziewczyna ze starą gitarą, próbująca przekrzyczeć muzyków wspartych silnymi przodami głośników. Plac bardzo duży. Spodziewałem się maksymalnie trzydziestu osób, a jest grubo ponad setka. Za lewą stroną sceny parterowe, opuszczone ciągi betonowych budynków. Przypominają opuszczony PGR, bez szyb, bez framug okien nawet. Żałuję, że koncert nie odbywa się w tych zapadłych pomieszczeniach. Od prawej łąka otoczona przez stare

garaże, z rozpadającymi się drewnianymi drzwiami. Na przeciwko sceny, jakieś dwieście metrów dalej widać stare kamienice, a pomiędzy nimi kocie łby drogi, jeszcze grubo sprzed wojny. Od strony kamienic i w stronę kamienic płynie strumień ludzi, wszystko jasne- jest otwarty sklep i jest blisko. Czyli jest dobrze, po piwo nie trzeba zapuszczać się wgłąb kamienicznej dzielnicy, mniejsze zatem szanse na dostanie po mordzie od dresiarzy.

Muzyka przeróżna. Rockowa kapela z coverami, później punk rock niczym z wczesnych dokonań Dezertera, połączony z The Clash i domieszką Sex Pistols. Grają niezłe. Frustracja wypływa z krzyku wokalisty, który wygląda niczym szeregowy skin head z filmu "romper stomper". "Nie jestem z pokolenia JPIII! Nie!", "Bimber" i inne kawałki porywają publikę. Istne szaleństwo. Piętnastolatki skaczą obok trzydziestopięciolatków. Wrażenie wspólnego oporu przeciwko bzdurom z telewizji. Nie byłem w Jarocinie, ale wiem, co czuli zbuntowani przeciwko ówczesnemu systemowi, chociaż sam systemzkanalizował bunt, tworząc festiwal. Tu jest o tyle inaczej, że nowy system stworzył warunki do zorganizowania festiwalu- bo co można zrobić, jeśli nie ma nic do roboty? M. opowiada mi, że Słupsk jest klasycznym przykładem zapadniętego pod ciężarem przemian ustrojowych miasta. I chyba ma 100% racji. Zatem, jeśli nie ma już nic i nie ma perspektyw, "no future" wykrzykiwane przez zespół z małej miejscowości pod równie zapadłym jak Słupsk Miastkiem w Powiecie Bytowskim, staje się prawdziwe. Bunt i krzyk są szczere, realne jak dwadzieścia lat temu.

Po "Rower Reverb" wskakuje na scenę zespół śpiewający po kaszubsku. W Słupsku niewiele osób rozumie o co chodzi, ale chłopaki grają i czują, że nie muszą się wstydzić. Podkultura autochtonów Pomorza nareszcie jest pełnoprawnym uczestnikiem kulturalnego wydarzenia. Nie w szkolnej piosence śpiewanej na apelu, nie w wymuszonym programie telewizji regionalnej, ale na scenie, na oddolnie zorganizowanym festiwalu w mieście, które zatrzymało się gdzieś w 1992 roku. Radiowóz policji zaparkowany w okolicy kamienic, tuż pod rozpadającym się betonowym murem nieco śmieszny. Alkohol jest wszędzie wokół i chyba nie ma zgody na jego spożywanie, wszak to publiczne miejsce, ale policja czuje, że wchodząc na teren koncertu, raczej zepsułaby wieczór sobie niż tańczącym w zapomnianym już prawie, szaleńczym pogo.

Po małej obsuwie wchodzimy na scenę. Wokalista w jednym z utworów znika ze sceny i obija mordę zaplątanemu przez przypadek na koncert faszysty, a może pijanemu, któremu podskoczyła agresja i zaczął znieważać kogo popadnie. Po zejściu ze sceny słuchamy jeszcze miejscowego zespołu- grupy znajomych, którzy specjalnie na koncert reaktywowali kapelę. Pakujemy się powoli do busa. Jakiś czas przed naszym występem cały teren wokół sceny ogarnia mgła. Gruba, tłusta mgła, która spływa na koncertową ławkę niczym izolacyjny klosz, potęgujący jeszcze wrażenie odrealnienia i przeniesienia się muzycznym wehikułem dwadzieścia lat wcześniej. Znowu ludzie razem, znowu bez przyszłości, znowu zbuntowani. System zmienił etykietę, ale w Słupsku raczej niewielu to interesuje- system wciąż istnieje. A póki istnieje i czuć jego oddech na karku, "no future" wydaje się jak najbardziej sensowne.

Słyszę nadjeżdżający pociąg i obserwuję, jak przez grube mleko mgły przebijają się jedynie światła przedziałów. Widać same oświetlone okna przepływające równo niedaleko za sceną. Zwiastun świata, któremu zaraz po koncercie trzeba będzie na nowo stawić czoła. Główny organizator- dwudziestoletni student wchodzi na scenę i informuje o zakończeniu imprezy. Dostaje ogromne brawa i uśmiechy zadowolonych muzyków i słuchaczy, chociaż trudno powiedzieć dokładnie kto jest kim, a role zatarły się przy wspólnym słuchaniu muzyki. Patrę na szczerze zadowolone twarze ludzi, patrę na dumnych z przygotowania wydarzenia organizatorów, którzy na dodatek muszą dopłacić z własnej kieszeni do wydarzenia i przypomina mi się pseudopunkowy świat, potrafiącego wykrzykiwać jedynie słowo "anarchia" bohatera serialu 39,5 (widać w Warszawce punk to synonim

nieudacznika, czemu słupski koncert radykalnie przeczy).

Nie wiem, czy "punk rock never dies". Wiem, że dzisiaj na pewno nie umarł, a w Słupsku stary garaż spełnił rolę edukacyjnego centrum, pałacu kultury. Nie, nie kultury promowanej w największych mediach. Kultury żywej i prawdziwej, której uczestnicy sami uczą się, jak zorganizować sprzęt, zespoły i zachęcić publiczność do zabawy. Kultury młodych i nienastawionych komercyjnie animatorów. Niech żyje zatem autopedagogika, pedagogika garażu, gdzie wspólnie z kolegami z podwórka tworzy się idee i próbuje wcielić je w życie. Twój garaż również może być centrum kultury.

Odjeżdżamy. Organizatorzy wręczają mi litr wódki. Miała być skrzynka piwa, a wódka dla ochrony, ale ktoś zinterpretował wspólnotę koncertową, wkraść się do namiotu i wypić piwo... W końcu to tylko, a może aż "Garocin"...

Bruthus Perun

## Po drugiej stronie muru, część II

*drugi odcinek grafomańskiego maratonu...*

I

Spacerowanie na dłuższą metę było cholernie nudne. Ale co mogę robić? Dęby były tylko przykrywką, bodźcem, motywacją do tego, by wspiąć się na górę. Chodzę wzdłuż wąskich ulic i rozmyślam. Planuję. Jak by to zrobić, żeby przemknąć przez mur niezauważenie, przedrzeć się przez siatkę i kolczasty drut, wspiąć na płaskie ściany i ominąć ostateczną barierę, to co według ostrzeżeń miało kryć się na końcu. Psy i uzbrojeni strażnicy. Ale żeby nie ułatwiać całkiem życia uciekinierom, ulotka i instruktażowe spotkania poruszały zawsze temat tych, którzy za murem się kryli. Mieli to być ludzie, którzy są wpatrzeni w siebie. Kochający siebie nadzwyczaj mocno. Wielbiący nieustannie konsumowanie nowych rzeczy, uciekający od prostoty życia w wirtualny i nieprawdziwy świat nowych ubrań i całej masy zbędnych urządzeń. Kontakt z nimi miał być zawsze nieprzyjemny, byli skłonni do agresji i mieli wzywać siły porządkowe, które usuną każdego, kto nie pasuje do wzorca. Osoby spoza muru nie akceptowały inaczej niż oni wyglądających, nieuśmiechniętych, pozbawionych pstrokatych ubrań osobników. Czy warto było zatem pchać się w paszczę lwa, uśmiechnięty i kolorowy pysk zdradzieckiego węża? Może tak, może nie. W każdym razie gra wydawała się warta świeczki, choćby dlatego, że nie w moim stylu jest przyjmowanie twierdzeń na wiarę. Wątpienie, szukanie prawdziwego oblicza, ot cały ja. Skręciłem w lewo, choć chciałem iść prosto. To taki rodzaj zabawy, którą uprawiam, kiedy naprawdę się nudzę. Postanawiam pójść w określoną stronę, przy czym pozwalam, by nogi, a właściwie chyba mój mózg, czyli teoretycznie ja sam, pozwoliły się ponieść gdzie indziej. Taka nagła decyzja podjęta bez udziału woli. Skręciłem w lewo i wpadłem na starszą kobietę.

- *Przepraszam...*- zdążyłem z siebie wyjąknąć, ale ona przerwała mi, nie zważając na to, co mam do powiedzenia.

- *Nic nie szkodzi*- wysapała, podając mi dłoń, bym pomógł jej wstać z kocich łbów, które lśniły w świetle żółtych lamp.

- *Czy Pan tu pracuje?* Zapytała z zaskoczenia.

- *Nie, skądże-* odpowiedziałem, nie wiedząc na czym miałaby polegać ta praca.
- *Rozumiem, pan tu tylko pomaga-* próbowałem oponować, ale to nie przynosiło skutku, bo zaczęła mówić dalej.
- *Pięć minut temu zadzwonili do mnie, żebym tu przyszła, to przyszłam. Tu jest takie wspaniałe powietrze. Kiedyś, gdy byłam za murem, snulałam się wśród kolorowych wagonów, były takie cudowne. Nigdy nie naoglądałam się tylu pojazdów.*
- *Niestety, nie miałem takiej okazji-* wystękałem, chcąc uciec od przynudnej staruszki, która próbowała mnie wciągnąć w rozmowę, a raczej zmusić do wysłuchania jej starczych westchnień za przeszłością.
- *A centrum, panie, spacerowałam godzinami przez galerie. To dopiero był widok.*
- *Zazdroszczę pani-* odpowiedziałem z nadzieją na urwanie rozmowy, bo babcia odchodziła już ode mnie. Ale gdy usłyszała sztuczny wyraz zazdrości, cofnęła się. Teraz byłem pewien, że długo się nie odczepi.
- *Co ja właściwie mam ubrane?-* powiedziała do siebie- *wiem, że dwa dni temu byłam strasznie spocona i długo spałam, aż tu nagle zadzwonili, to przyszłam. Wiem, że mam torebkę, ale czy mam coś jeszcze?*
- *Dobrze, że nie jest pani naga-* wyrzuciłem z siebie, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu. Na szczęście również się uśmiechnęła.
- *Nie, no wiadomo, że coś mam. Ale co to jest? Co ja mam na sobie?-* w tym momencie złapała się za kwiecistą sukienkę i próbowała jej przyjrzeć, ciągnąc fragment ubioru jak najbliższej oczu. Ja stałem w tym czasie, nie mogąc nadażyć za tym, co się dzieje. Po chwili przestała i ciągnęła dalej, jakby zapominając o sukience, której istnienia nie była pewna.
- *Wie pan, ostatnio, gdy w lesie za tymi tam kamienicami zbierałam grzyby, nagle zerwał się tajfun i widziałam jak zrywa dach z okolicznych kamienic. Teraz zniszczeń już nie widać, ale płyty dachu leciały prosto na mnie. Wyobraża pan sobie?*
- *Niewiarygodne-* to wszystko, na co było mnie w tej chwili stać.
- *Ale to nie koniec, tajfun był tak silny, że cały desant, który miał tu wylądować, wszyscy skoczkiem spadochronowi rozbili się w okolicznym lesie. Przeżył tylko, no, ten, jak on ma, wiem. Przeżył tylko komandor. Nic mu się nie stało i wylądował tuż przede mną. Od razu widziałam, że był w szoku. Zrzucił ubranie i stanął przede mną jak Pan Bóg przykazał. I przestraszyłam się, bo wie Pan, ja nie cierpię krwi, to jest coś strasznego. Złapałam go za rękę i od razu wiedziałam- miał padaczkę. Więc zawołałam pogotowie- w lesie głos się dobrze niesie- udzieliłam mu pierwszej pomocy i czekałam aż przyjadą.*
- *I co było dalej?-* zapytałem rzeczywiście ciekaw.
- *Przyjechali, zbadali go i powiedzieli, że padaczka. A ja od razu wiedziałam. Po co było go badać? Pan też jakoś niemrawo wygląda, proszę podać mi dłoń...*

Po ostatnich słowach babci uciekłem. Wiem, to śmieszne, ale nie chciałem czekać, aż wbije mi nóż, albo po prostu szydełko, bo pomyśli, że jestem agentem wroga. Kiedy zmęczony usiadłem na schodach, prowadzących na wewnętrzne podwórko jednej z kamienic, myślałem, że jestem na prochach. Że wziąłem leki, a wszystko to, co się dzieje, jest mirażem, wymysłem, bzdurną projekcją wytwarzaną przez zatrute neurony. Bo czy kiedy wszystko jest w porządku, spotyka się tak dziwne osoby? I nie ma dokąd uciec- tu za murem, a może przed nim widać dowód na teorie Einsteina. Jeśli będziecie szli cały czas prosto, w końcu dojdziecie do muru, a dalej iść prosto, to iść już tylko wzdłuż muru, dzięki czemu zawsze dojdziecie po jakimś czasie w miejsce, z którego wyszliście. Dokąd zatem miałem pójść? Rzeczywiście, uciekałem od wstrętnych bloków, gdzie spędzałem większość czasu w zamkniętym na klucz budynku, pilnowanym przez obsługę niby stąd, niby spoza muru, przechadzającą się w białych kitlach i częstujących bezsmakową galaretką rano i wieczorem. To podobno pozwalało lepiej spać w nocy i lepiej działać w dzień, choć odkąd zacząłem dokarmiać galaretką kwiaty, rezygnując z konsumpcji, rzadziej bujałem się w fotelu i coraz częściej doznawałem wrażenia absurdalności mojej sytuacji, chcąc czym prędzej uciec poza budynek. Chciałem udać się do dębów, a być może poza mur, zobaczyć co jest za nim. Bo niby czemu miałbym wierzyć w telewizyjny obraz i teksty z ulotek? Marzenie o empirycznym przeżyciu, chęć doświadczenia, "learning by doing"- to było moje marzenie. Swobodna interpretacja zebranych bodźców i swobodna reakcja na nie. Tak, to byłoby coś. Tymczasem siedziałem na murku, śmiejąc się z własnego strachu, który kazał mi uciekać przed dziwną babcią.

## II

Jechała do domu. Z centrum handlowego, gdzie spędziła wiele godzin, częściowo śmiejąc się ze zwyczajności otaczającego ją świata, wszędobylskich kolorów, nowych wydań prasy, nowych projektów odzieży, nowych zapachów, które miały pozwalać cieszyć się jeszcze bardziej upływającymi i wciąż nowymi chwilami. Cieszyć się dla siebie i pozwalać się upajać naszym zapachem innym, przechodniom, współpasażerom wagonów wożących z centrum do sypialni i z sypialni do centrum. Obserwowała wszystko w centrum bacznie, by móc przedstawić swoje przeżycia i spostrzeżenia, w ramach "rozmowy o społeczeństwie". Nie zamierzała jednak powiedzieć całej prawdy, a raczej tego, co jej się nasuwało. Narażanie się, nie, to złe słowo, wyróżnianie się, wychylenie z tak idiotyczną opinią nie miało sensu. Oczywiście, nic by się nie stało, bo przy uśmiechach, wyrazach zrozumienia i przychylności współuczniów szybko doszłoby przecież do porozumienia i wszystkie wątpliwości przysłyby jak bańka mydlana. Może właśnie na to liczyła? A może jej galaretki okazały się za słabe i powoli wpadała w ... depresję? Przecież ta choroba była niegdyś bardzo popularna, objawy pojawiały się nagle, głęboka refleksja, z ciemnym odcieniem rozpacz, smakiem kwaśnego mleka... Tak, galaretki się przyda, a w centrum spotkań edukacyjnych opowie wszystkim, jak bardzo się cieszy, że może szybko rozwiewać swoje wątpliwości. Że cieszy się obecnością innych, którzy dają jej wiarę we własne siły, ale i w siły wspólnoty, współzycia, współistnienia i- dodała automatycznie- współgalaretki, co wywołało szeroki uśmiech na jej twarzy. Zastanawiała się, czemu właściwie nie powie im prawdy, nie rzuci na podłogę świeżej prasy, nie zrobi kolażu wyrażającego jej wątpliwości. Dlatego postanowiła spisać je, nie ujawniając nikomu. Tak na wszelki wypadek. Dla niej samej, żeby się oczyścić, a może ze względów statystycznych, by sprawdzić jak często nachodzą ją wątpliwości lub bardziej przyziemnie- jak często galaretki są za słabe i popada w nieprawidłowy humor.

Wysiadła z wagonu i postanowiła pójść pieszo, co przez mgnienie oka wydało się jej pomysłem dziwnym, ale przecież praktykowanym ostatnio dość często przez innych, taka znowu nadeszła moda; przejść się na wzgórze. Tam, gdzie stoją rozłożyste dęby, w miejsce uznawane za przestarzałe, ale tam udawała się zawsze, gdy wątpliwości przerastały siłę past i kolorowych galaretek. Poszła spędzić samotnie popołudnie wśród szumiących drzew.

# wiersze Papu Paszy



## STRAJK MYŚLI

Fabryka snów najśłodszych otwarła sobie kolejną filię  
chodzą słuchy, czeszę włoski  
bo to tuż pod nimi  
Sączy się serotonina...

Nie dostały kolorowe myśli wypłaty  
w rzeczywistości chleba  
A przecież w takich warunkach  
wybierałem wczoraj telewizor na igrzyska  
przy trzecim sklepie zmęczony i głodny upadłem  
Tylko kamery patrzyły.

Poszły rozmyślnie w zaparte  
czarno tylko myślą  
że jestem właścicielem mówią  
ale przecież to one...  
ja tu tylko  
śniadania, obiady, kolacje  
na czas podaję  
Słowem? Nuuu-da.

Nazywają wirusem, rasistą, małym księciem  
wyzyskiwaczem  
wirtualnych systemów opieki

Nudzą mnie te myśli stare, nieudane  
Grożę im cichutko palcem  
Chcąc wskazać winnego  
Pcham ten palec samemu sobie do gardła!  
Co za włoskie pomysły  
żeby robić co ledwo się tylko pomyśli?!

Nie będzie mi się tu więcej  
nic w ogóle rozmyślać!  
Fluoksetyna, Imipramina,  
Sertralina i paroksetyna  
Ostatnich recept nie powstydziliby się  
sam Machiavelli. A kysz!

Error. Odmowa dostępu.  
Skontaktuj się ze swoim administratorem.  
Żądamy dostępu do happy endu!

## **SAMOREGULACJA**

Kogo odtrąci tort podatkowy?  
Kto ulży tonącemu w długach krajowi?  
Na własny rachunek wolnym zechce być  
Jak gdyby znowu była wojna?

Nie mniejszości mundurowe,  
na które tyra większość  
biorąc zwolnienia chorobowe,  
by ćwiczyć elastyczność.

Lemingi i korsarze  
Niech nasze prace sezonowe  
na zmywaki abordaże  
spłacą wakacje kredytowe.

Nie czas na równość, godność...  
Wypijmy za dzieci zdrowie!  
My, zgińmy za kolejną bazę  
One – niech giną za nadbudowę.

## BŁĄD W SZTUCE

Wstyd  
za żołnierza wygrywającego  
muzykę (której autora  
można już nie pamiętać)  
pośród zgliszcz płonącej Warszawy  
kazał usunąć  
kult z kultury.

Wstyd  
za pracowników sektora usług  
ochroniarskich i wojskowych  
kosztujących życia  
w Falludży  
pomoże usunąć  
kapo z kapitalizmu?

A może nie  
Grozny to tylko błąd  
w nie mojej sztuce?

autorzy numeru:

**Gen Disobey 1980-2008**

Aresztowany pod zarzutem propagowania terroryzmu politycznego. Wskoczył z 3-go piętra komisariatu.

**Eric C 1978-2008**

W ferworze dyskusji, na imprezie u pewnego posła i jednocześnie bogatego przedsiębiorcy, zapowiedział gospodarzowi, że ręka, która głosowała za wysłaniem wojsk do Iraku będzie odrabana. Usłużni ochroniarze wyrzucili "tego anarchistę" na zbity pysk. Dwie godziny leżał na chodniku w rzygach i we krwi zanim ktoś wezwał karetkę. Przytomności nie odzyskał. Śledztwo umorzono.

**Papu Pasza 1982-2008**

Wieczorem czuł się źle, nie był w formie. Położył się. Rano już na nic nie miał czasu.

**Józef Longinowicz 1980- 2008**

Tropiciel afer i politycznych układów. Pomyłkowo- w związku z rzekomym podobieństwem do poszukiwanego listem gończym- zastrzelony przez policję w swoim samochodzie. Rodzina uważa, że został zamordowany na polityczne zlecenie.

**San Precario 1977- 2008**

Ksiądz katolicki. Propagator teologii wyzwolenia w Polsce. Zginął podczas napadu rabunkowego na plebanię. Policja do dzisiaj wyjaśnia sprawę. Z plebanii nie zginęły najcenniejsze przedmioty.

**Dominique Radetzky 1981- 2008**

Aktywista anarchistyczny związany ze sceną punk. Dźgnięty śmiertelnie nożem przez członka faszystowskiej bojówki w przejściu podziemnym w kampusie Uniwersytetu Gdańskiego.

**Bruthus Perun 1986-2008**

Student kulturoznawstwa. Zatrzymany za przemyt narkotyków (twierdził, że je podrzucono) powiesił się w więzieniu w Ameryce Południowej (śledztwo w sprawie samobójstwa umorzono).